Punkt krytyczny

Rozmowa ze scenarzystą – Marcinem Ciastoniem na temat filmu „Wyrwa” zrealizowanego na podstawie bestsellerowej powieści Wojciecha Chmielarza.



Marcin Ciastoń, fot. Agata Murawska

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Panie Marcinie, podczas tegorocznego Festiwalu Polskich Filmów w Austin w

Teksasie, pokazujemy thriller psychologiczny „Wyrwa". Proszę powiedzieć, jak wyglądała pana praca jako scenarzysty, przy adaptacji tej powieści?

Marcin Ciastoń: Do współpracy zaprosili mnie producenci Joanna i Paweł Wernikowie oraz reżyser, Bartosz Konopka. Zanim do niej doszło, przeczytałem oczywiście książkę i dosyć szybko pomyślałem, że mam na nią pomysł. W jakimś sensie zobaczyłem też trochę siebie w bohaterze, bardziej na zasadzie – co by było, gdyby… Rzadko myślimy o swoich relacjach w punktach krytycznych, wolimy sobie tego nie wyobrażać. To mi wystarczyło. Jedną z ważniejszych decyzji i zmian w stosunku do oryginału, którą zaakceptowali współtwórcy filmu, było przeniesienie [SPOILER] pogrzebu żony bohatera na koniec opowieści. W książce rozgrywa się to inaczej. Chciałem, żeby wszystkie jego działania były napędzane chęcią poznania prawdy przed tym wydarzeniem. To wymagało ode mnie przearanżowania niektórych sekwencji, aby uzyskać spójną opowieść. Chciałem pozostać jak najbliżej oryginału i mam nadzieję, że mimo tych zmian, to się udało.

W filmie ogromną rolę odgrywają przeżycia bohaterów, o których widz dowiaduje się w kolejnych sekwencjach i tak buduje się obraz psychologiczny postaci.

Każda powieść i każdy film to nie tylko wydarzenia, ale przede

wszystkim emocje, więc nawet jeśli bohaterowie nie wypowiadają dokładnie tych samych słów, a rzeczy nie przydarzają im się dokładnie w tych samych momentach, co na kartach powieści, to właśnie emocje oddają istotę opowieści. Taki był mój zamysł. Zaproponowałem też sposób na wejście w głowę bohatera poprzez jego wyobrażenia na temat wypadku, które powtarzają się kilkukrotnie, w różnych wersjach. Podobnych wizyjnych elementów było w scenariuszu nawet więcej. Dużo też rozmawialiśmy z reżyserem o konwencji opowieści – historia jest dramatyczna, ale szukaliśmy przełamania, które dałoby widzom oddech, a także uwypukliło relacje między postaciami. To naprowadziło nas na elementy humoru. Choć film opisywany jest jako thriller, warto wiedzieć, że to hybryda gatunkowa, bywa śmiertelnie poważny, ale czasem „odpina wrotki”. Wiele z tych elementów komicznych zostało jeszcze rozwiniętych na planie, w ferworze zdjęć, w reżyserskiej wizji. Oczywiście praca prowadziła przez wiele wersji scenariusza, długie rozmowy i wspólne zastanawianie się nad podróżą, jaką przebywają nasi bohaterowi. Pewne pomysły wnosiłem jeszcze do scenariusza w okresie preprodukcji – zarówno wybrane lokacje, jak i czytanie tekstu z aktorami okazały się bardzo inspirujące.



Karolona Gruszka i Tomasz Kot w filmie „Wyrwa”, fot. Robert Pałka



Olga Bołądź w filmie „Wyrwa”, fot. Robert Pałka

Ale mimo, że „Wyrwa” to hybryda, z elementami humoru,

jak Pan przed chwilą powiedział, to jednak widzom oglądającym film częściej dreszcze przechodzą po plecach niż się śmieją. Jak na etapie scenariusza buduje się narastające napięcie? Jak prowadzi bohaterów poprzez labirynt ich życia?

To gra przypominająca czasem puzzle, czasem jengę, innym razem rozwiązywanie sudoku. Jeden fałszywy ruch i coś nie gra, trzeba się cofać, wymazywać, poprawiać. Pisanie to przepisywanie, więc w miarę jak lepiej poznajemy bohaterów, bo ta podróż to trochę jak nawiązywanie nowych relacji, tyle że zwykle z fikcyjnymi osobami, zaczynamy rozumieć, co ich napędza, czego się obawiają, co ich cieszy. I wystawiamy ich na próby, pakujemy w sytuacje, w których woleliby się nie znaleźć, żeby przekonać się, jak z tego wybrną. W przypadku „Wyrwy" te składniki były już obecne. Zadanie polegało na wyciśnięciu z nich esencji i stworzeniu autorskiego „dania", trochę jak w Masterchefie, mocno inspirowanego oryginałem, często wiernego, ale oddziałującego być może na inne zmysły. Jest w tym oczywiście zamysł – zanim zaczynam pisać, poznaję postacie, dookreślam je, identyfikuję. Czasem wychodzi to już w scenach, bo zdarza się, że robią coś, czego byśmy się nie spodziewali. Często to analiza ich zachowań, rozmyślanie na ten temat, zabawa w psychologa. Ciekawa jest dla mnie ta dwoistość twórczości, bo jako autorzy musimy mieć wiedzę, a jedocześnie być głęboko w głowie bohaterów – wprowadzać ich w

najróżniejsze sytuacje i obserwować je wraz z nimi od wewnątrz. Fascynuje mnie to.



Kadr z filmu „Wyrwa”, fot. Robert Pałka



Grzegorz Damięcki w filmie „Wyrwa”, fot. Robert Pałka

Czasami autorzy powieści czują tak duże przywiązanie do swojego tekstu, że nie są skłonni zaakceptować zmian. Jednak język literacki i język filmu różnią się znacząco między sobą. Jak Panu współpracowało się z Wojciechem Chmielarzem?

Na początku czułem pewien stres, bo pierwszy raz adaptowałem historię innego autora, zwłaszcza tak znanego i cenionego pisarza. Ale nie nakładano na mnie ograniczeń. Miałem wolność, mogłem proponować, w najgorszym wypadku spotkałbym się z odmową. Ale najczęściej moje propozycje prowadziły do dyskusji i wypracowania kierunku, którego chciał reżyser. Po lekturze scenariusza Wojtek przesłał swoje uwagi i były one słuszne, ale właściwie nie ingerowały w tekst. Bardzo cenię sobie takie zaufanie. Również ze strony reżysera i producentów. Mieliśmy z Wojtkiem naprawdę dobry kontakt, również po zakończeniu mojej pracy. Nagraliśmy nawet wspólnie odcinek w jego serii podcastów „Zbrodnia na poniedziałek”, gdzie rozmawialiśmy o różnicach w naszej pracy, a przede wszystkim razem świętowaliśmy premierę filmu. Bardzo cieszyło mnie, gdy czytałem potem w wywiadach pochlebne słowa Wojtka o moim scenariuszu.

Czy pisząc scenariusz widział Pan obsadę?

Nie od razu, ale rzeczywiście dosyć wcześnie, co zdarza się rzadko. Początkowo była mowa o wymarzonej obsadzie producentów i reżysera. Być może trochę mi się to udzieliło. Sam często staram się wyobrażać sobie postać, nawet jeśli nie jako znanego aktora czy aktorkę, to kogoś, kogo gdzieś widziałem albo kogo znam. Gdy obsada została potwierdzona, bardzo mnie to ucieszyło. To był dla mnie zaszczyt móc pisać scenariusz dla tak wielkich talentów. Bardzo pomocne było też późniejsze czytanie z nimi tekstu. Mogłem dopracować szczegóły, uzupełnić scenariusz o to, jak sami widzą swoje postacie. A reszta to już magia, która dzieje się na planie.

Czy woli Pan pracę nad scenariuszem filmu, który powstał w Pana wyobraźni, czy też pracę nad adaptacją książki, gdzie mamy już gotową fabułę?

Jest wiele świetnych historii stworzonych przez pisarzy, które można opowiedzieć w nowy sposób, nadać im formę, przekazać emocje, nie jest to mniej kreatywne osiągnięcie i jestem gotowy na takie wyzwania. Ale na pewno nigdy nie przestanę pracować nad oryginalnymi pomysłami, mam nadzieję, że będę mógł w ten sposób spędzić całe życie. Z przerwami na odpoczynek. Tworzenie świata i bohaterów od początku ma w sobie coś niesamowicie pociągającego i zawsze będzie to mój pierwszy instynkt, zawsze najpierw będą szukał kolejnej historii wokół siebie i w sobie.



Marcin Ciastoń ze statuetką za najlepszy scenariusz podczas Festiwalu w Gdyni w 2021 r.

Debiutował Pan świetnym filmem „Operacja Hiacynt", opartym na prawdziwej historii na temat środowiska gejów w czasach PRL-u. Otrzymał Pan za scenariusz nagrodę podczas Festiwalu w Gdyni. Jakie jeszcze filmy, do których napisał Pan scenariusz są Panu szczególnie bliskie?

Wspomnę tu o serialu, który czeka na premierę, a do którego napisałem kilka odcinków. Miałem przyjemność pracować nad historią całego sezonu razem z jej twórczyniami, Agnieszką Szpilą i Dominiką Prejdovą oraz naszą headwriterką Katarzyną Tybinką. To wyjątkowy projekt, który łączy elementy supernaturalne i kryminalne z historycznymi oraz rodzinnym

dramatem. Uwielbiam takie połączenia. Wyjątkowy projekt i bardzo inspirująca współpraca – „Czarne stokrotki", które powinny być dostępne już w tym roku w Polsce w Canal +.

Nad czym Pan teraz pracuje?

Piszę serial, który na razie musi pozostać owiany tajemnicą. Oprócz tego rozwijam z reżyserami dwa filmy fabularne – jedna historia osadzona jest w czasach drugiej wojny światowej, druga w latach 60. na… Łotwie. To chyba moje powołanie, bo w obu przypadkach eksperymentujemy z gatunkiem, który nie jest jednoznaczny, poszukujemy nowych form dla często już znanych treści, oczywiście starając się nie łamać zasad tam, gdzie są one konieczne.

Patrząc na strajk scenarzystów w Hollywood, czy i Pan czuje zagrożenie nowych technologii, takich jak ChatGPT, dla swojej pracy?

Uważam, że również w Polsce konieczna jest regulacja dotycząca AI. Szczególnie jeśli chodzi o korzystanie z zasobów kultury oraz własności intelektualnej do trenowania sztucznej inteligencji. Rozwiązania wypracowane przez Writers Guild of America są, moim zdaniem, optymalne. Byłoby okrutnym paradoksem, gdyby program uczony na wytworach działalności kreatywnej twórców ostatecznie wyeliminował ich z rynku pracy. Choć myślę, że

musimy liczyć się z ewolucją naszego zawodu. Wolę jednak myśleć o tym jako o pojawieniu się nowego narzędzia, jak kiedyś Internetu, nieocenionego w research'u. Zapoznanie się z historią przeglądarki scenarzysty to często intrygujące doświadczenie. W tej chwili ChatGPT może być dla scenarzystów sposobem na „odbicie" pomysłów, co czasem inspiruje, ale na tym etapie rozwoju AI oznacza to po prostu szybsze przerobienie znanych i utartych rozwiązań, żeby samodzielnie móc wpaść na coś oryginalnego.

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka



Ekipa filmu „Wyrwa", fot. Rafał Mrozowski

Film „Wyrwa” będzie można zobaczyć 4 listopada podczas 18 Festiwalu Polskich Filmów w Austin:

https://www.austinpolishfilm.com/